

„I U V E N T U S C H R I S T I A N A”

ORGAN STOWARZYSZENIA I ZWIĄZKU SENJORÓW KATOLICKIEJ
MŁODZIEŻY AKADEMICKIEJ

„I U V E N T U S C H R I S T I A N A”

MIESIĘCZNIK

REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY — IRENA JÓZEFOWICZOWA
WYDAWCA — KAROL POPRZECKI

KOMITET REDAKCYJNY:
H. CZEPLIŃSKA, H. JANKOWSKA, Z. ŁUKASZEWICZÓWNA, W. NADOLSKA

*Numer ten opracowany został przez
kolo wileńskie „Iuventus Christiana”
i poświęcony jest głównie życiu i pracy
tego koła.*

W A R S Z A W A — P O Z N A Ń — W I L N O

ROK V

CZERWIEC — 1933

Nr. 6

Z rozważań nad Ewangelią.

„Oto ja was posyłam jako owce między wilki: bądźcież tedy mądrymi jako węże, a prostymi jako gołębic”.

Mt. r. X, w. 16.

Chrystus, posyłając apostołów w świat na trudy ich wielkiego posłannictwa, nie ukrywa przed nimi prześladowań, z jakimi się spotkają. Przeciwnie, odsłania ich oczom cały bezmiar mąk, upokorzeń, nienawiści. Christophori, apostołowie Dobrej Nowiny, głosiciele Wszecmiłości odbiorą od świata zapłatę nienawiści i wzdąry. Tak świat zwykł nagradzać tych, którzy miast pochlebstwa, ośmielają się przeciwstawić jego duchowi zakłamania i kompromisu — ducha nieugiętej prawdy.

„I będziecie w nienawiści u wszystkich dla imienia mego”. (Mt. X, w. 22). Dla Imienia mego! Te trzy proste słowa streszczają cały sens męczeństw pierwszych chrześcijan, one pozwalały im umierać ze spżowem męstwem w obliczu, z hymnem miłości na ustach. I te same słowa, nieustannie żywe, widniały poprzez cały ciąg historii na sztandarze wojującego i prześladowanego Kościoła.

„Jako owce między wilki”! Bezbronych jako owce posłał Chrystus w sam środek ludzkiego stada, między złych, przewrotnych, krwiożerczych. Zguba grozi im na każdym kroku, niebezpieczeństwo zagłady — ale nie poto posyła ich Chrystus; mają oni do spełnienia wzniosłe, trudne posłannictwo. Bierne poddanie się grożącej zagładzie — to nie zasada religji Chrystusowej. Apostołowie wychodzą na podbój świata, oni właśnie jako owce między wilki posłani. Nietylko nie powinni ulec, lecz zwyciężyć wilki, zgromadzić „węgle ogniste na ich głowę”, rozpłomienić ogień święty, aby gorzał. Jakże dokonają podboju świata oni cisi, nędzni pielgrzymi, do rad wydawani, w bóżnicach sądzeni, do starostów i do królów wodzeni na świadectwo?

Z jednej strony przyrzeka im Chrystus pomoc z Nieba, pomoc Ducha Ojca, który będzie mówił przez ich usta, z drugiej zaś poleca im przywdziać zbroję Rycerzy Chrystusowych: mądrość węzową i prostotę gołębic.

„Bądźcie mądrymi jako węże, a prostymi jako gołębic”. Wąż jest w pojęciu naszym symbolem mądrości laickiej, roztropności czysto świeckiej; staje przed naszymi oczami w postaci węża biblijnego, kusiciela pierwszych rodziców, wysłannika szatana dla dokonania grzechu pierworodnego. Taką rolę odegrał wąż na służbie złego ducha, w której częściej przebywa, niż w służbie prawdy.

„Synowie tego świata roztropniejsi są w rodzaju swoim nad synów światłości”. Roztropność, jedna z czterech cnót kardynalnych, jest dziś przez katolików niesłusznie wzdąryta, odrzucona i zapoznana. Wydaje się, jakoby nie licowała z wielkodusznością i bezkompromisowością katolicyzmu. Ale porozumiejmy się: nie jest ona kompromisem, ale cnotą, darem Ducha św., koniecznym czynnikiem w życiu indywidualnym i życiu Kościoła. Ona powinna stanowić regulator naszego postępowania i tarczę w walce ze złem. Niech mądrość węzowa przestanie być przywilejem sy-

nów Ciemności, niech przyobleką się w nią także synowie Prawdy i Światła, aby nie dać się pożreć krwiożerczym wilkom! Wydzierajmy złu jego oręż! „Bądźcie mądrymi jako węże”! — „a prostymi jako gołębic” — dorzuca Chrystus.

I o tem nie wolno zapomnieć. Prostota gołębic odróżni naszą mądrość węzową od przebiegłej, wykrętnej mądrości tego świata. Roztropność katolików zespolić się musi z prostotą, z tą prawdą życia, którą nakazuje nam Chrystus w słowach: „niechaj mowa wasza będzie: Jest, jest; nie, nie”. (Mt. r. V, w. 37). My nie możemy używać zatrutych strzał mądrości macchiawelskiej; walczymy z odkrytą przyłbicą, z sercem gołębiem. Mądrość węzów i prostota gołębic — to cudowne zestawienie, niezmierną głębię kryjące. W niem się streszcza tajemnica walczącego Kościoła, tajemnica postępującego podboju świata, bezmiar miłości, ogarniającej ramionami wszystko. Nie pozbawiona wszelkich podstaw etycznych mądrość świata, niewidzialną dłonią szatana kierowana, odniesie ostateczne zwycięstwo, ale nauka Chrystusowa, ongiś przez ubogich rybaków wśród prześladowań głoszona, przez cały ciąg wieków opromieniona męczeństwem.

Wiele się zmieniło w świecie — ale zawsze pełno wilków, krążących dokoła owczarni. Strzeżmy się ich nieuchwytnych sidiel. Przywdziejmy zbroję mądrości i słodyczy.

Irena Sławińska.

Święty Jan Chrzciciel.

II Kołu Iuventus Christiana i jego kierownikowi Xiędzu Edwardowi Dethkensowi.

„Coście wyszli na puszcę widzieć? trzcinę chwiejącą się od wiatru? ale coście wyszli widzieć? człowieka w miękie szaty obleczonego?... coście wyszli widzieć? proroka? Zaiste powiadam wam i więcej niż proroka! Bo ten jest o którym napisano: Oto ja posyłam anioła mego przed obliczem twojem, który zgótuje drogę twą przed tobą. Zaprawdę powiadam wam nie powstał między narodzonymi z niewiast większy nad Jana Chrzciciela!” (Mt. 11, 7—11).

Z tych słów Zbawiciela widzimy, że święty Jan był nieprzeciętną osobistością, miał specjalne zadanie Poprzednika Chrystusowego i posiadał odpowiedni do tego stopień świętości.

Z powołania wypływał tryb życia świętego. Uświęcony w łonie matki, syn kapłańskiej rodziny Zacharjasza i Elżbiety, młodość swą spędził na puszczy, oddany modlitwie i pokucie. Na zachodzie od Jerozolimy, w pobliżu wsi Ain-Karim znajduje się grotta, nosząca nazwę grotty Jana Chrzciciela. Dostęp do niej jest bardzo trudny. Wokoło grotty rosną nędzne krzewy, w pobliżu wypływa źródło. We wnętrzu pieczary znajdujemy ławę kamienną, mającą służyć zarówno za posłanie i siedzenie. Jan Chrzciciel, przebywając przez trzydzieści lat na puszczy, zwyczajem dawnych

proroków często zmieniał miejsce pobytu i w takich to pieczarach znajdował schronienie. (X. Fouard).

Gdy nadszedł czas działania, święty Jan ukazał się jako mąż spizowy; „a ten Jan — opowiada św. Mateusz — miał odzienie z sierści wielbłądowej i pas skórzany około biodr swoich, a jadał szarańcze i miód leśny”. (Mt. 3, 4). Działalność Chrzciciela była, jak mówi Pismo Święte, „w duchu i mocy Eljaszowej”; to napozór niezrozumiałe zdanie jest aluzją do charakterystyki Eljasza proroka, zawartej w księdze Mądrości: „I powstał Eljasz prorok jako ogień, a słowo jego jako pochodnia gorzało”. (Mądr. vel Eccl. 48, 1).

O Janie św. powiedział Anioł: „będzie wielkim przed Panem: i wina i sycery pić nie będzie: i będzie napełniony Duchem Świętym jeszcze z żywota matki swej. A nawróci wielu synów Izraelskich ku Panu Bogu ich”. (Łk. 1, 15).

Wskazać Zbawiciela i przygotować Mu lud doskonały — oto podwójne zadanie Jana. Od zadania tego nie odchylił się ani na włos. Ani bojaźń śmierci, ani pokusa próżności nie zachwieją jego kroków. Żadne ludzkie względy nie zdołają go skrepić. „Rodzaju jaszczurczy — odzywa się do dufnych faryzeuszów — któż wam pokazał, abyście uciekali od przyszłego gniewu? — Czyńcie tedy owoc godny pokuty”.

Tylekroć był poczytywany za Chrystusa, nawet przez najbliższych, „lecz wyznał, a nie zaprzął a wyznał, że ja nie jest Chrystus”. (Jan 1, 20).

W chrystjanizmie prawda i dobro utożsamiają się — niema światła w umyśle, skoro uczynki są ciemne! To też poprzednik Chrystusowy grzech piętnował bez litości, bez kompromisu. Natomiast tam, gdzie była zachowana sprawiedliwość, gdzie ani Boskie, ani ludzkie prawo nie było naruszone, tam zawsze był pełen wyrozumiałości. „Przyszli też i celnicy, aby byli ochrzczeni — opowiada święty Łukasz — i rzekli mu: Nauczycielu, co czynić będziemy? A on rzekł do nich: nie pobierajcie nic nad to, co wam przepisano. Zapytywali go też i żołnierze, mówiąc: A my co czynić mamy? I mówił im: Nikogo nie uciskajcie, ani oszukujcie, ale poprzestawajcie na żołdzie waszym”. (Łk. 3, 12—14). Zaprawdę, z taką mądrością mógł nauczać tylko Jan, co miał dla siebie pas skórzany i szarańczę.

Nauczanie łączyło się z obrzędem chrztu. Chrzt Janowy był to symbol oczyszczenia serca, odbywał się wraz z wyznaniem grzechów, wreszcie była to figura chrztu, jako sakramentu Nowego Przymierza. Chrzt Jana różnił się jednak od chrztu Chrystusowego tem, że nie dawał łaski Ducha Świętego sam przez się. Jan nie chrzczył ogniem miłości, ani Duchem Świętym, jak to czynił Chrystus. „Ja was chrzczę wodą, ku pokucie — tak mówił do faryzeuszy — ale który przyjdzie po mnie, mocniejszy jest niż ja... ten was ochrzci Duchem Świętym i ogniem”. (Mt. 3, 11).

Nauczanie świętego Jana, rozpoczęte w 26 roku ery Chrystusowej (31—32 po narodzeniu Pana Jezusa, według X. Szczepańskiego) trwało przez dwa lata. Męstwo w piętnowaniu grzechu naraziło Poprzednika Chrystusowego na konflikt z Herodem Antypasem i śmierć męczeńską. „Herod pojął Jana i związał go w piwnicy dla Herodjady, żony Filipa, brata swego, iż ją był pojął. Bo Jan mówił Herodowi: Nie godzi się tobie mieć żony brata twego”. (Mr. 5, 17—18). Odpowiedzią na to było żąda-

nie wyuzdanej Herodjady: „Daj mi na misie głowę Jana Chrzciciela!”. Śmierć nie nastąpiła od razu po uwięzieniu. Herod, jak zaznacza X. Fouard, był zbyt słaby, aby zbrodnią uwolnić się od sędziego swego sumienia, zbyt zepsuty, aby pójść drogą obowiązku, ograniczył się do ochrony Chrzciciela przed wściekłością Herodjady. Miejszem więzienia był Macheront — „czarna twierdza”. Warownia wznosiła się na jednej z gór, okalających zachodni brzeg morza Martwego, otoczona tak głębokimi jarami, iż wzrok mąci się, patrząc w tę bezden przepaści. Złowroga sława łączyła się z paturemi parowami, gdyż zjawiska wulkaniczne podsycały wyobraźnię ludu. (X. Fouard).

Koniec Jana wszyscy znamy. Rozpalony namiętnością Herod usłuchał żądania nałożnicy.

Święty Augustyn, rozważając słowa Poprzednika Chrystusowego: „Jemu należy rósć, a mnie maleć”, powiada, iż przepowiednia ta sprawdziła się: Jan umniejszon o głowę — Chrystus wyniesion na Krzyż!

Spójrzmy jeszcze raz na ziemskie życie świętego Jana. Kogo z nas nie boli tak rozpanoszona wszędzie ugodość, brak silnej wiary, a razem z nią brak miłości dóbr zasadniczych. Trzeba wciąż stawić sobie przed oczy życie i naukę Zbawiciela, patrzeć na najwierniejszych Jego heroldów, świętego Jana i świętego Pawła, by za tym ostatnim móc powtórzyć: „znam tylko Chrystusa, tego Ukrzyżowanego, głupstwem dla Greków, a zgorzeniem dla Żydów” i naprawdę Go znać! Trzeba zerwać z ugodością tam, gdzie chodzi o Prawdę i Dobro zasadnicze.

Mamy więc pierwszy wniosek: miłość prawdy i mężne jej wyznawanie.

Wiemy jednak, jak często, obok względów oportunistycznych, namiętności ludzkie gmatwają i niweczą wszelką szlachetną działalność. Nie „trzcina chwiejąca się od wiatru”, nie „człowiek w miękkie szaty obleczony”, miał zwiastować przyjście Zbawiciela, lecz Jan, co nie pił wina ani sycery, co opasywał się pasem skórzany i odziewał się w szatę z sierści wielbłądowej! Podobnie też, kto podejmuje się szlachetnej roli herolda Chrystusowego, by zawsze odróżniać Dobro i Prawdę od drobiazgów małej wagi, by nawet w karceniu i karaniu płonąć miłością Boga i dusz, by nie szukać swego powodzenia, lecz chwały Bożej, winien doskonale opanować własne namiętności, winien duszę swoją łaską Bożą uświęcić. Życie Eucharystją, rozważaniem słowa Bożego i umartwienie nieporządných skłonności — te są podstawy wszelkiego apostołstwa. Ktoś powiedział, że Boga innemu można dać nie tyle, ile się chce, lecz ile się Go ma!

Te myśli, a przedewszystkiem słowa Pisma Świętego, niechaj nas zbliżą do Tego, którego Wysłańcem i Poprzednikiem był Święty Jan, Jezusa Chrystusa — Syna Bożego — Zbawiciela Świata.

Ks. Mr. Józef Zawadzki.

Wilno, przy Ostrej Bramie, w maju 1933 r.

O pełnię miłości.

Największym przykazaniem Zakonu Chrystusowego jest przykazanie miłości: „Będziesz miłował Pana Boga Twego...” (Mat. XXII, 34). Słowa te objawiają nam istotę religii Chrystusowej, jej piękno i najgłębszą prawdę. Sercu człowieka miłość jest właściwa i bliska, naturalna, przyjmuje więc on chętnie nakaz miłości. Czyż zastanawia się jednak nad konsekwencjami tego aktu woli, którym otwiera duszę — prawdzie — miłości? Prawda — nie znosi kompromisów, ograniczeń; żąda niepodzielnego panowania, nie współwładzy. Przyjąć ją — to tem samem oddać jej życie, realizować ją w czynie i dążyć do jej pełni. Jest to prawo Prawdy Odwiecznej, tajemnicę nieskończoności kryjącej, prawo, od którego uchylać się nie wolno.

Cechuje może szczególnie współczesnych ludzi, nawet często katolików, eklektycyzm, który jest zawsze znamieniem małoduszności i pychy. Boimy się konsekwencji Prawdy, poprzestalibyśmy na jej pierwszym, najzewnętrzniejszym słowie. Ograniczony umysł człowieka wzdryga się przed bezmiarom, chciałby go zamknąć w ciasny horyzont własnych pojęć. Trwożliwa małoduszność odsuwa wszelką odpowiedzialność, zamyka oczy na niezmiernie otchłanie i szczyty Prawdy, pogrąża się w ciepłym, egoistycznym bagienku własnej wygody. A z drugiej strony człowieka czuwa nieustannie szatan pychy: on to ogłosił światu wszechpotęgę rozumu ludzkiego, który dogmatem tym zdołał wszystkich oszukać, prócz siebie... nie zdołał wypenić bowiem tego nieuświadomionego może poczucia własnej niemocy, która instynktownie każe człowiekowi odrzucać to wszystko, czego rozum jego nie może objąć.

W walce o pełnię Prawdy potrzeba nam wielkoduszności i pokory. Dopiero głęboka, potężna pokora umie pochylić głowę na przyjęcie Prawdy i jej wszystkich nakazów. Wielkie męstwo duszy stanie z orężem na polu, zaprzysięgnie wierność i wytrwałość w nieustannym boju z kłamstwem życia. My, którzyśmy się wprzęgli w służbę Chrystusa, odrzucimy małoduszną trwożę, zbroję marnych ludzi. Spełnijmy akt odwagi: wielkodusznym „fiat” przyjmijmy pełnię Prawdy! Odsłońmy jej oblicze — spójrzmy w tę otchłań bezkresną — i z nieugiętym sercem stańmy na straży jej honoru.

Otchłanie miłości... Czyż je znamy? Mówimy często o przykazaniu miłości, wypisujemy je na sztandarze życia. Ze słów św. Pawła wiemy, że... „cierpliwa jest, łaskawa jest... nie szuka swego, nie wzrusza się ku gniewu...”

Znamy ją, ale jakże powierzchownie! Ten eklektycyzm współczesny, o którym już mówiłam, oręż małodusznych i pysznych, widzi tylko jedno oblicze Miłości, z Ewangelji wybiera tylko niektóre wersety: o nadstawieniu drugiego policzka, o błogosławieństwie cichym... płaczącym... pokój czyniącym. Na podstawie fałszywej interpretacji tych tekstów, Miłość uzyskuje ckliwy uśmiech cierpliwości, wydaje się słaba, bierna, anemiczna; powstaje teoria kwiatyzmu religii. W takie argumenty uzbraja się przeciętny indyferentyzm, potępiając religię, jako czynnik społecznie szkodliwy, jako szkołę niewolników.

I jeszcze jeden fałsz: miłość a sprawiedliwość, ich stosunek wzajemny. Czy nie słyszymy często takiego komentarza: miłość chrześcijańska winna nie liczyć się ze sprawiedliwością, winna pobbłażać, ustępować. Nie można tych dwu pojęć: sprawiedliwości i miłości stawiać na osobnych płaszczyznach i ustalać ich stosunek podrzędności! Są ze sobą nierozdzielnie sprzężone, tworzą pełnię Prawdy, jedna nie może istnieć bez drugiej. Jakże uboga, blada byłaby miłość, gdybyśmy ją pomniejszyli o sprawiedliwość!

A drugie oblicze Miłości, zapoznane przez trwożliwy umysł ludzki szczerze zasłonięte: zaprawdę, nie łzawe ono, ale płomiennie, z brązu ukute, symbol Najwyższej Potęgi. Wsłuchajmy się w głos tej Mocy, nie pokój wieszczącej, ale miecz: „Nie mniemajcie, abym przyszedł puszczać pokój na ziemię...” Są to także słowa Miłości. Chrystus zapowiada walkę o sprawiedliwość i należny Mu prymat w życiu ludzkim. Żąda pełni Miłości, zupełnie bezwzględny nakaz słyszymy w Jego słowach: „Kto miłuje ojca swego albo matkę więcej niż mnie, nie jest mnie godzien”. (Mat. X, w. 37). Nie możemy „dwom panom służyć”!

Miłość prawdziwa obejmuje całokształt życia i przenika do najtajniejszych jego głębin; musi być aktywna, musi się przyoblekać w czyn. Aby stać się naprawdę — czynem, winna się łączyć z równie silną i czynną nienawiścią zła. Bez niej — zostaje bladym frazesem, kołysanką do snu bierności, nie hasłem do czynu, którego istotę stanowi walka, zmaganie się z oporną bryłą życia. Konsekwencję Miłości streszczają tak proste i lapidarne słowa Psalmisty: „Qui diligitis Dominum, odite malum”.

Miłość i nienawiść... Zestawienie pozornie paradoksalne, tak znamienne dla religii Chrystusowej. Przyzwyczailiśmy się uważać nienawiść za siłę wybitnie negatywną, destrukcyjną, wrogą Miłości. A właśnie ona jest nieodzowna dla jej pełni: nienawiść zła namiętna, potężna, nieustannie czynna i bezwzględna, która nigdy nie sprzymierzy się ze złem i nie pozwoli na żadne ustępstwo w Prawdzie.

Ernest Hello w głębokim zrozumieniu tej konieczności pisze w swojej książce p. t. „L'homme”: „Zbrodnią XIX wieku jest brak nienawiści zła i stawianie mu żądań. Jedno tylko żądanie można mu postawić: powinno zniknąć. Wszelkie z niem porozumienie nie jest jego częściowem, ale zupełnem zwycięstwem, bo zło niezawsze żąda wygnania dobra, ono chce tylko pozwolenia na wspólne z niem panowanie”. (str. 96).

Słowa Hello można zastosować w pełni i do obecnych czasów. Współczesność zdradza silną tendencję do kompromisu w każdej dziedzinie, także i moralnej. Wszędzie wkrada się ukryta dłoń mierności i tchórzostwa, polecająca t. zw. „złoty środek”.

Dziś zło grasuje bardziej, niż kiedykolwiek, bezkarnie, gdyż nie potrzebuje się lękać trybunału opinii publicznej, podświadomie czując w niej sprzymierzeńca. I dlatego chwila obecna woła o czyn odwagi, wzywa do walki. Nie wystarczy samoobrona przeciwko kreciej polityce zła, sprostowaćmy walkę w pełne światło, odrzucmy to bojaźliwe milczenie, jakie jeszcze pokrywa otchłanie zła. Rycerzom Miłości nie przystoi tchórzostwo ani bierność: wyjdźmy odważnie na arenę czynu, której nam nie wolno opuścić. Przywróćmy trybunał opinii publicznej i pozwijmy zło na sąd imieniem sprawiedliwości.

Spełniamy czynnie obowiązek nienawiści w dążeniu do pełni Miłości. Ale nieustannie trzeba czuwać, aby nienawiść ta była dopełnieniem, nie przeciwstawieniem Miłości, aby zwracała się tylko przeciwko złu samemu, nie człowiekowi. Miłość jest naszym celem ostatecznym, Miłość potężna, zwycięska, darząca pokojem po długim znoju dnia codziennego, trudzie bojowania.

W walce o pełnię Miłości — zapiszmy w sercach: „Qui diligitis Dominum, odite malum”.

Irena Sławińska.

Problem techniki.

„WIELKI GŁÓD” — J. Bojera.

Są to dzieje inżyniera-twórcy, który wraz ze swymi kolegami po fachu galopadzie współczesnego świata do opanowania sił przyrody zapomocą techniki nadaje znaczenie metafizyczne: walki prometejskiej z Bogiem. Niechęć do Boga, w którym widzi tylko potężnego władcę, robiącego sobie z ludzi zabawę, tkwi w nim przez całe życie, a genezę swoją sięga wczesnej młodości. Per Holm, awanturiczny chłopak, wychowany bez rodziców w wiosce rybackiej w Norwegii, ma wybitne poczucie piękna i potrzebę silnych wzruszeń. Tymczasem smutne życie protestanckiej wioski szarością swoją ciężko przytłacza ludzi. Wszelkie silniejsze impulsy pełnej inicjatywy natury przyjmowane są ze zgrozą i paraliżowane spostrzeżeniem o piekle. „Wszystko było grzechem, oprócz śpiewania hymnów”. To też, gdy w wyprawach na morze lub w pracy w kuźni wyładowuje Per ujarzmione strachem złoże energii — zdobywa się na śmiałe marzenia: „Chciał zostać proboszczem, ale nie takim obżartym, z grubym brzuchem i okularami, nie, tylko rodzajem syna niebios w białej szacie i twarzą, jak słońce. Tak, może osiągnie kiedyś to, że będzie mógł zstąpić w miejsce udreki swej matki, by wydobyć ją stamtąd i ocalić. I gdy w wieczory jesienne, jako siwy biskup, stać będzie na swej stolicy biskupiej, wtedy podniesie palec do nieba i wprawi wszystkie gwiazdy w śpiew”.

Marzenia te przeobrażają się w konkretne plany na przyszłość, gdy poznaje Per swego ojca, ujmującego wielkoświatowego gentlemiana, który obiecuje mu materialną pomoc, gdy dorosnie i zostanie konfirmowany. Niestety, śmierć ojca i nieuczciwość nauczyciela, który był wykonawcą woli zmarłego, uniemożliwia chłopcu realizację jego planów. Nadarza się okazja pracy w warsztatach i stopniowej kariery do szczebla inżyniera. W czasie studjów umiera mu jedyna bliska istota, jego siostra Lowisa. Fakt ten stawia Pera w opozycji w stosunku do Boga. Buntuje się przeciw bezmyślności śmierci i tyranji nieba.

Odtąd cały swój zapal poświęca już tylko pracy; podróżuje na Wschód i do Ameryki dla śmiałych przedsięwzięć technicznych, w których widzi broń w walce człowieka z Bogiem: „Uważam (mówi Ferdynand Holm), że technik nowoczesny jest na swój sposób... potomkiem Prometeusza... umysł ludzki przez każde zwycięstwo, odniesione nad przyrodą, wydiera Bogom cząstkę ich wszechmocy. Mam wrażenie, że używamy stali i ognia i siły i myśli poto, by wzniecić bunt przeciw tyranji nieba”.

Lecz kilkunastoletnia praca twórcza na kolonjach nie daje mu zadowolenia, bo w rozwoju techniki europejskiej na Wschodzie widzi tylko tendencje kapitalistyczne bankierskiej Europy. Więc „dopóki Europa przez swe cuda techniczne, przez swe chrześcijaństwo i ulepszenia polityczne nie wytworzy wyższego typu człowieka, niż ta hołota, którą teraz mamy, dopóty powinniśmy siedzieć w domu i „stulić pysk”.

Bo nie widzi, by inowacje techniczne przyczyniły się do udoskonalenia człowieka, raczej odwrotnie — szybkie tempo życia uniemożliwia poprostu życie duchowe i głębszą refleksję... „Sądzę, że ogień i stal czynią człowieka stopniowo zwierzęciem. Maszyna zabija coraz więcej to, co nazywamy w sobie boskiem. Czyż mimo to, nie możemy być chrześcijanami? — Chrześcijanami tak. Ale czas, byśmy coś więcej ubóstwiali, niż ascetę

na krzyżu. Przecież, na miły Bóg, nie możemy po całą wieczność śpiewać alleluja, że ktoś inny cierpiał za nas i wkręcać się mimo to szachrajstwem do nieba”.

Bez uznania więc dla chrześcijaństwa (którego praktykę znalazł w Norwegii, a nie doktrynę) i już bez entuzjazmu dla techniki wraca Per do ojczyzny. Tutaj spotyka go miłość, która daje mu przeczucie Boga.

W miłości i sielance na wsi znajduje wiele szczęścia. Lecz tkwiące w nim siły twórcze nie dają mu rozplynać się w spokoju i pchają go naprzód: „Czy to spoczywanie w sobie to dosyć?” — budzi się refleksja. Wyczuwa tendencje w dwóch kierunkach: 1) by dojść do konkretnych zdobyczy metafizycznych; 2) by nie stłumić ducha twórczego w dziedzinie swego fachu.

Męczy go poczucie „nieposiadania ojczyzny w religji”. Razem z Merlą czują potrzebę Boga, któryby „mógł przyjąć modlitwę ich, nie jakąś tam żebranię o łaskę, lecz podziękowanie, radość z powodu życia”. Nie może Go znaleźć. Bo „asceta na krzyżu jest bogiem dla starców i chorych. A my inni? Kiedyż dla nowoczesnego, silnego, naukowo myślącego człowieka zbudowana zostanie świątynia dla dźwięku psalmu i tonu wieczności w jego duszy?”

Ale niedługo trwa ta sielanka rodzinna. Przyjeżdżają ze Wschodu przyjaciele Pera, którzy są wyrazem woli świata.

Zadza produkcji skłania ich do wyrwania Pera z sielanki rodzinnej, „by się nie dał zahamować”. Nie wolno mu tego w imię jego talentu. „Wola świata idzie swoją drogą i nie możemy jej się opierać. Nikt nie pyta o nasze szczęście. Wola nieskończoności pyta, kogo może użyć, a kto jest bezużyteczny”. „Stal nie chce pokoju. I Prometeusz go nie chce. Duch ludzki musi przebyć jeszcze wiele stopni, zanim stanie na szczycie. Nie, mój przyjacielu, o tem decydują potęgi, którymi nie władasz ani ty, ani ja”.

Ulega więc Per woli świata, woli stali. Wyjeżdża z domu i podejmuje się ryzykownych przedsięwzięć... Tutaj spotyka go zawód. Wskutek rozstroju nerwowego dokonał wielu niedopatrzeń... stracił majątek. Zrujnowany, chory, żyje dalej w ubóstwie na wsi, utrzymywany przez rodzinę żony. Oddać musi bogatej ciotce dwoje dzieci, których utrzymać nie potrafi. Popada w zupełną apatię, a w głowie czuje nieustannie wierzący świder — zadumy nad życiem i bunt przeciw zimnej tyranji nieba. Analogja swojej sytuacji z losami Hioba, obudza w nim pragnienie, „by złączyć się z wszystkimi nieszczęśliwymi, których zmiażdżył ślepy los, skupić ich dokoła siebie nie dla wspólnego jęczenia, lecz dla wspólnego zwycięstwa. Nie dla zemsty, lecz dla pieśni nad pieśniami. Spójrz, wszechmocy wieczysta, jak odpłacamy ci twoje okrucieństwo, sławimy życie — czyż my nie bardziej boscy, niż ty?”

Per czuje, że przerasta swe pojęcie Boga. „A my czyż nie jesteśmy lepsi od Jehowy? Oburzamy się na naukę odkupienia, która oparta jest na grzechu pierwszych rodziców i boskiej żądzy krwi, wzruszamy ramionami, wszystko wywołuje w nas uśmiech lub wstręt. Nie jesteśmy wprawdzie aniołami, ale jesteśmy za dobrzy na to, by wielbić takiego Boga”.

Nie dziwi się więc, że teraz na wsi kościół świeci pustkami, chłop nie ma właściwie niedzieli, której końca nie może się doczekać, siedząc przy stole ze zwieszoną głową. „Wielka idea ciągłego rozwoju, stal i cuda techniki, będą prawdopodobnie kontynuować swój pochód zwycięski, który zmienia oblicze ziemi, każe żywiej bić jej pulsowi. Cóż jednak z tego, że chłop pewnego dnia będzie mógł na taczkach wlecieć w powietrze, kiedy nie ma już ani świątyni, ani święta? Co ma do szukania w chmurach, gdy żadne niebo nie sklepi się nad jego duszą? Sądzę, że wszędzie potrzebny jest nietylko odnowiciel religijny, nietylko nowy prorok, ale i nowy Bóg”.

„Świątyni, świątyni dla dzisiejszego, wieczności głodnego człowieka, nie dla jęku modlitewnego, lecz dla hymnu, który człowiek marnotrawnie ciska ku niebu!”

Doprowadzony do krańców cierpienia, gdy stracił nietylko majątek i zdrowie, ale i ostatnie dziecko, które mu podstępnie jego konkurent zamordował — zdobywa się na niebywały wysiłek: skrzesania w sobie Boga przez heroiczny czyn: zasiewa w nocy (by nikt nie widział) pole swego wroga, który przez zawiść swoją dla Pera stracił powszechną sympatię i doszedł do nędzy. W ten sposób wznosi się na wyżyny duchowe i czuje „nieskończoną odpowiedzialność” za człowieka. „Człowiek musi się wzniesić i być lepszy, niż ślepe moce, które kierują jego drogami; pośród nieszczęścia musi dbać o to, by to, co boskie, nie zmarło.

Znowu iskra wieczności we mnie rozpląnęła i rozkazała: niech się stanie światłość. I poznawałem coraz bardziej, że człowiek musi stwarzać boskość w niebie i na ziemi, przez to właśnie triumfuje nad martwą wszechmocą w wszechświecie. I ażeby Bóg żył, poszedłem na pole i zasiałem ziarno". Czyn ten wypełnia go radością, pozwala mu śpiewać pełne poezji hymny na cześć niepokonanego ducha ludzkiego i wszystkich jego przejawów, nie wyłączając techniki, w służbie której sam się rozbił.

Wśród powieści, poruszających problem techniki, książka Bojera zajmuje poważną pozycję. Nie narzuca nam ona tendencji, ani wrogiej technice, ani też reklamującej tę wytwórczość. Niema tu naiwności np. Bensona, który w „Panu świata” widząc, że życie wielkomięskie z szalonym wzrostem urządzeń technicznych nietylko nie przynosi ludziom szczęścia, ale przeciwnie — człowieka oddaje produkcji w niewolę i jest powodem albo wielu cierpień, przesyty i znużenia życiem, albo zupełnej bezmyślności w kołowaniu zmaterializowania — proklamuje powrót do prymitywu. Bojer zdaje sobie sprawę z naiwności takiego rozwiązania problemu. „Stal prze naprzód, toczy swe fale poprzez cały świat”. Wola świata idzie swoją drogą. Idź za nią, albo będziesz, jak nieużytek wyrzucony z pokładu”. Nie może więc być mowy o jakimś przeciwstawieniu się tej żelaznej woli świata. Tembardziej, że ono właściwie obejmuje nas wszystkich. Tą „wolą świata” jesteśmy my sami. I drogi uszczęśliwienia współczesnego człowieka, może już przesyconego zdobyciami materialnymi, a jednak zawsze żądnego nowych, nie sposób szukać w realizacji marzenia na tle przeszłości. Anachronizmy nigdy nie są właściwym rozwiązaniem zagadnień, choćby w przeszłości zawarte były skarby ducha. Świadomi dodatnich stron przeszłości patrzymy jasno i śmiało w teraźniejszość, od której zawrócić niepodobna, gdy się stoi zaledwie za progiem rozwoju procesu. Duch ludzki pcha niezmierzona siła, by możliwości, które mu w zarodku są dane, wyczerpać do końca.

Per nie może się oprzeć tej woli stali. Idzie za nią... porzuca swe szczęście w miłości i spokój. „Szczęście? Spokój? Nie! Nagromadzone wiadomości i doświadczenia stają się pewnego dnia złemi mocami, które biczem popędzają cię naprzód”.

Czemu jednak, pytamy, spotkała Pera katastrofa? Bo to nie pionek, który może tylko ulegać nieznanym a silnym nurtom współczesności. To świadomy twórca, którego krótkowzroczność samej pracy nie zadawalnia. On nie może ulec tylko woli świata, on musi świadomością swoją opanować ruch świata, nadać mu swą wolę, świadomą sensu życia i racji śmierci. Silną, zdrową intuicją chłopca wiejskiego wiedziony, czuje, że jest w świecie rozsypany jakiś obiektywny, pełen wartości sens (dobro), zbliżanie się do którego całą siłą życia (a więc i środków technicznych), mogłoby stanowić jego wyraźną linię rozwoju. Czuje, że jest Bóg. Lecz ten jego zdrowy instynkt nie pozwala mu widzieć Go w takiej religii, jaką poznał w swojej norweskiej wiosce. I to wywołuje jego katastrofę, jego silne wstrząsy duchowe. Jego psychika religijna nie może utonąć w „préoccupation du jour”, a jednocześnie nie może się umiejscowić w religii, która mogłaby zdobyć jego zaufanie. „Kiedyż dla nowoczesnego, silnego, naukowo myślącego człowieka, zbudowana zostanie świątynia dla dźwięku psalmu i tonu wieczności w jego duszy?” Zdaje sobie sprawę, że w miarę rozwoju techniki postęp duchowy musi się stale wzmacniać, by duch narzucał rozwojowi świata swą wolę, by ożywić wielki typ człowieka. Tymczasem w okresie najbardziej intensywnej twórczości technicznej rozwój duchowy Pera nie posuwa się dalej, stoi w tem samym miejscu, w jakim się znalazł po śmierci Lowisy; buntu przeciw zimnej tyranii Wszechmocy.

Ten niewspółmierny rozwój zdolności intelektualnych, produkujących się gwałtownie w wynalazkach inżyniera — przy równoczesnym zastoju jego sił duchowych, zmierzających ku metafizyce w instynktownym przeczuciu Boga — nie może się długo utrzymać. W braku harmonii coś musi upaść. Głód metafizyczny okazuje się silniejszy. Upada jego zdolność wytwórcza, Per wraca do prymitywu, gubi jakby wszelkie wartości życiowe. Melancholia — apatia — niezaradność — zdawałoby się, że jest u końca. „Człowiek nie spodziewa się, że pewnego dnia może być lepiej, nie, nie spodziewa się już, nie ma już żadnych marzeń, żadnej wiary, żadnych złudzeń — czyż wtedy nie jest się już u końca? Nie, wtedy pozostaje jeszcze ostatni osad swej istoty, „to, co jest naprawdę wartościowe”.

Przez instynktowne zbliżenie się czynem do Boga zdołał Per skrzesać przepojoną melancholią natury iskrę radości, która go rozpląmienia i doprowadza do właściwego

poglądu na świat: uniesienia dla wartości ducha ludzkiego i jego wszelkich twórczych przejawów, więc nawet dla techniki, którą się już przestał entuzjasmować, która przyprawia go o bardzo dotkliwe ciosy.

Dzieje duchowych przeżyć Pera, walka z Bogiem jego dzieciństwa, jest właściwie zbliżaniem się Pera do Boga i wyrazem potrzeby „nowej” religii dla współczesnego człowieka. „Nowej” w przepojeniu intensywnego życia poezją prawd metafizycznych, „nowej” w swoich metodach, któreby, mając niezachwianą pewność istnienia Boga przez Objawienie, zdążyły do Niego, jakby przez indukcję, przez odnalezienie tej iskry Bożej w człowieku i rozdmuchanie jej do ekstatycznego hymnu granitowej wiary, ożywiającej wszelkie przedsięwzięcia życiowe.

Inaczej — nadmiar dedukcji w religii (ten hebraizm w przeciwstawieniu do powyższego jakby hellenizmu) czyni ją sztywną i martwą, często wstręt budzącą swą niemożliwością zrozumienia i daje nieraz fałszywe pojęcie o Bogu, jakie miał o Nim protestant Per, wyobrażając sobie Boga jako wszechmocnego tyrana, robiącego z ludzi zabawkę.

„Skrzesanie Boga” przez Pera to ożywienie Boga w duszy, wyraz zrozumienia Go, zespolenia się z Nim ścisłego, co wiedzie do jasnego, pełnego siły, słonecznego poglądu na świat. Tego współczesnemu człowiekowi trzeba. To mu daje do znudzenia może powtarzane hasło: „Więcej radości!”

„Juventus” w Wilnie.

Zaczął się, jak to zawsze, nieśmiało, a zarazem buńczucznie. Juwentusowy Apostoł Piotr przybywa z Warszawy płoszyć heretyków wileńskich — zaczyna więc za nimi się oglądać. Widać jednak niema takich typów w zbożnym grodzie Gedymina, bo na zebranie informacyjne ściąga tylko pięć nadobna, aczkolwiek, jak się to później okazało, niezupełnie słaba. Świecą swoją męskością: założyciel, dwaj seniorzy warszawscy, którzy zaraz wstydliwie znikli nam z przed oczu, kol. Edek Chodkowski i dwaj księża: ks. dr. Hlebowicz, już prof. U. S. B. (to nic, że „z powodu wyglądu” wszyscy go biorą za początkującego kleryka) i ks. Józef Zawadzki, senior Juventus warszawskiej.

Był to czerwiec 1931 r.

Z początkiem nowego roku akademickiego zaczęło się w Juventus robić gwaro. Nowoobrana prezeska H. Wierzbicka zakrzętała się z ogromną pasją. Goście, dobre komentarze, płomienna dyskusja każe nam zapomnieć o zbożnym truizmie „Czas to pieniądz” i pozwala nam szczerze trwonić „pieniądze”: zebrania kończą się niemal o północy.

Wytwarza się serdeczna atmosfera zażartej „walki o zasady” (nieraz b. wolno-myślne) ze szczerem nastawieniem dobrej woli w szukaniu prawdy, więc goście od razu „wsiąkają” i czują się bardzo dobrze. Życie się koleżanek ugruntowują wspólne zamknięte rekolekcje wielkopostne w Czarnym Borze, co dla wielu było wprost rewelacją i wyrzyło niezniszczalny ślad na całą przyszłość.

Herbatki (z tych jedna z goszczącym w Wilnie ks. Rektorem Szejnlicem), wilja, wspólne wycieczki, częste fotografie, przynoszą wogóle życie się wzajemne, bez podziału na klany męskie i żeńskie. Z wiosną przychodzi jednak osłabienie tempa życia, widocznie wskutek tęsknot już nietyłe metafizycznych, ile raczej do zielonej trawki. Co pilniejsze typy, zawzięcie kujące do egzaminów, utną sobie od czasu do czasu na zebraniu jakąś drzemkę, z której przebudzić ich mogą tylko czerwone hasła, żerującej na śpiączce, radykalnej grupy społecznej, rekrutującej się przeważnie z gości.

Juventusowe Zielone Święta spędzamy w Ponarach wraz z wycieczką Polonistów z Poznania, między którymi byli bywalcy Juventus poznańskiego.

Nowy rok akademicki 1932/33 wnosi atmosferę spokoju (ale nie zastoju) w życie organizacyjne. Reprezentantką tych tendencji jest nasza nowa prezeska I. Sławińska. Kłopotu dostarczają zmiany w kierownictwie; opuszcza nas ks. Hlebowicz, więc też na „Mikołaju” próbujemy go do nas przywiązać „złotym” łańcuchem:

„Przywiązaćbyśmy Cię radzi,
Gdy od nas uciekać chcesz,
Bo coraz widzimy Cię rzadziej,
Ze smutno nam bardzo — to wiesz.

Ten łańcuch to nie są kajdany,
Uczucia naszego to znak —
Bądź zawsze nim z nami związany,
Bo bardzo nam Ciebie dziś brak.

Wogóle „Mikołaj”, który się odbył dn. 15 grudnia 1932 r. przy wydatnej pomocy kol. Wandy Leszczyńskiej i kol. Pawełka Dziemidowicza, udaje się wprost wspaniale. Blyszczący humor jest wyrazem, że mimo adwentowych przesileń wskutek tak zasadniczych wątpliwości, jak dociekanie „sensu” Iuventus i szukanie „ratio distinctiva” od innych organizacji katolickich — mamy wielkie złoże energii i „nie zginiemy”. Może niektóre wierszyki w karykaturalnym skrócie przedstawia szerszym kołom juwentusowym w Polsce choć część naszego „pobożnego” stadka.

Ks. Józefowi Szastalskiemu, który mimo nawalu pracy, objął po ks. Hlebowiczu kierownictwo, Iuventus ofiarowało willę „Pod świętym Spokojem” i zegar o 36 godzinach:

W prezencie Ci dajemy
Willę „pod świętym spokojem”
W nagrodę za Twe trudy.
Dom zajmij sercem swoim —
Zamieszkaż sobie w kąciuku,
Dla nas zaś oddasz dom cały;

A że masz zajęć bez liku,
Aż się rozrywasz w kawały,
Żeby Ci czasu nie zbrakło
(To jest Twych zmartwień przyczyna),
Dajemy zegar o całych
Trzydziestu sześciu godzinach.

Zaś pełnemu erudycji koledze obficie dyskutującemu na zebraniach, Alfonsowi Proboszczyńskiemu, wręczono laurkę ze Świętymi Pańskimi, ozdobioną gwiazdkami, z życzeniem:

Czego Ci potrzeba,
Miej szczęście słodczyce,
Oraz dostap nieba!
Niech rozwój Twej duszy
Wszelkie więzy skruszy,
Idzie obiektywnie
Nunquam subiektywnie,
Semper konsekwentnie
Atque immanentnie
Niech materjalizmu

Nie chwycą Cię szopny,
A z subiektywizmu
Będiesz wyzwolony.
Wystrzegaj się obu
Do samego grobu,
Bo te sine dubio
Animam Twą zgubią.
Si vis vivere in pace
Ora, labora et TACE.

Ale clou wieczoru stanowiła ballada, Aldonie z Łapcapanowskich Społecznikowskiej poświęcona:

Prząc bicepsy, wiodąc przyjaciół,
Aldona do walki huf wiedzie
I do młodości nuąc hymn wesoły,
Z sztandarem kroczy na przedzie.
Jej się sprzykrzyły już prawa przyrody
Stałe, niezmiennie i nudne,

Nie chce, by cele były wciąż odległe,
Wysiłki długie i żmudne.
Ziemia w obrotach zbyt wolno się kręci,
Zbyt wolno się zbliża do nieba,
Ludzie zbyt wolno stają się święci,
Wtedy, gdy zaraz ich trzeba!
Itd., itd., itd.

Po ferjach Bożego Narodzenia i rekolekcjach zamkniętych w Czarnym Borze, wchodzimy jakby w nowy okres pracy z cyklem referatów o charakterze raczej informacyjnym, niż dyskusyjnym — o innych wyznaniach. Niezbyt szczęśliwie wybrany program i stanowczo zbyt wiele różnych kłopotów z nieustannymi zmianami księży kierowników wpływają przygnębiająco na członków. Spoistość organizacyjna rozpręga się, wszyscy chodzą samopas, wykręcają się od roboty, więc kierownictwo ima się stanowczych środków: wprowadzenia przymusu organizacyjnego i specjalnego rodzaju „obowiązkowości”.

Dopiero „wypowiedzenia” w poł. maja r. b. wyjaśniają wątpliwości i przynoszą wyładowanie nagromadzonych i nieco „podkwaśnialych” energii — wytwarza się znów spokojny zapał dla Iuventus, który ma okazję zdobycia konkretnego wyrazu w organizowaniu na Wileńszczyźnie obozu ogólno-juwentusowego i wypełnienia niniejszego numeru pisma. Oczywiście, sezon ogórkowo-egzaminacyjny zasadniczo rozproszkuje życie or-

ganizacyjne, lecz mimo to, trzymamy się teraz mocno i spoicie, pełni gorącej i spokojnej zarazem wiary w rozwój Iuventus w Wilnie i konkretnych planów na rok następny.

W życiu katolickim na U. S. B. zogniskowaniem w PAKS’ie Iuventus brało od początku i bierze nadal czynny udział. Ostatnio w cyklu referatów na zebraniach ogólnych PAKS’u na temat kwestji żydowskiej Iuventus opracowało kwestję bojkotu towarzyskiego Żydów, stojąc na stanowisku, że bojkot taki (a raczej stała izolacja) jest etycznie dopuszczalny, a ze względu na niebezpieczeństwo penetracji wpływów moralności żydowskiej — ze wszech miar wskazany.

„Jazz”.

Metoda pracy juwentusowej w opracowaniu koła instruktorów.

METODA OPACOWYWANIA REFERATÓW.

Koło Instruktorów omawiało metody opracowywania referatów na terenie wyłącznie juwentusowym, biorąc pod uwagę nasze specyficzne warunki i cele pracy. Wszelkie tedy uwagi swoje i wnioski opierało na dotychczasowej praktyce juwentusowej, a przede wszystkim na zaobserwowanych już brakach tej praktyki. O ile bowiem rozważania nad Ewangelią są, że tak powiem, naszą specjalnością i tu już wyrobiły się wcale silne, trwałe i wartościowe tradycje metod pracy, o tyle z referatami jest pod tym względem znacznie gorzej; to też nic dziwnego, że wyniki są tu bardzo nierówne, w całkowitej zależności od indywidualnego poziomu referenta, a często w dodatku niewspółmierne do włożonych w tę pracę wysiłków. A jednak — jeśli komentarz jest najlepszą i wypróbowaną metodą wychowywania juwentusiaków — to dopiero druga część zebrań, czyli właśnie referaty mogą w sposób planowy, logiczny i systematyczny rozszerzyć, sprecyzować, uzupełnić i ugrupować w należyty porządku i całości wiadomości nasze z różnych dziedzin wiary; słowem, one dopiero organizują, porządkują i ustalają ostatecznie nasze wykształcenie religijne. Od ich poziomu więc dużo zależy.

Mówiąc o warunkach specyficznie juwentusowych, trzeba wziąć pod uwagę: 1-o niefachowość referentów, z których normalnie żaden nie jest ścisłym specjalistą w tej dziedzinie, którą porusza jego referat, 2-o niezmierną różnorodność stopni wykształcenia religijnego, ogólnego przygotowania i zainteresowań słuchaczy i 3-o powszechny w kołach zwyczaj umieszczania referatów w II części zebrań, kiedy całe grono jest już nieco zmęczone, a godzina późna. Te okoliczności nasuwają niewątpliwie poważne utrudnienia, ale i ciekawe możliwości.

Trudną i bardzo poważną sprawą jest przede wszystkim sam wybór cyklu referatów na cały rok akademicki zgóry. Pierwszym i niezbędnym warunkiem dobrego wyboru jest istotne, szczere zainteresowanie przynajmniej większości koła dla danych tematów oraz jego potrzeby. Podstawową zasadą nowoczesnej pedagogiki jest fakt, że bez pewnej dozy zainteresowania prawdziwe poznanie jest nie do pomysłenia. Jeśli tedy instruktor np. widzi, że koło szczególnie brak wiadomości z jednej jakiejś

dziedziny wiary, większości jednak sprawy te nie interesują w owej chwili, ma przed sobą jedną tylko racjonalną drogę: nie narzucać poprostu koła odpowiedniego cyklu, bo prawie zawsze będzie z tego wynik marny, ale dołożyć wszelkich starań, aby to właściwe zainteresowanie w ludziach rozbudzić, co z łatwością nieraz się udaje, zwłaszcza w kołach mniej wyrobionych, o zainteresowaniach chwiejnych i powierzchownych, mało przemyślanych, a więc właśnie najbardziej potrzebujących pewnego kierownictwa. Cykl wybrany nie powinien być za długi, bo zawsze w końcu zacznie nużyć, a przytem musi zostać miejsce na parę tematów luźnych, nie związanych z cyklem, a to ze względu na te jednostki w kole, którym dany cykl nie dogadza (a zawsze parę takich wyjątków się znajdzie); uratuje to je od niechętnego i opornego stosunku do całej drugiej części zebrania, a większości nie popsuje cyklu, nawet przyjemnie od czasu do czasu pasmo pracy urozmaici. Kierownictwo koła powinno też dbać o to, by nie obracać się kilka razy z rzędu w sferze tych samych mniej więcej zagadnień, a natomiast żeby w ciągu paru lat praca koła objęła choć w przybliżeniu całość wiedzy religijnej, która jest niezbędna dla juwentusiaka.

Referentów wybierać trzeba przedewszystkiem zawczasu, zaraz po wyborze cyklu, aby mieli dłuższy czas do porządnego przygotowania się. Należy kierować się tutaj także zainteresowaniem członków (niema nic cięższego nad referat, opracowany przez człowieka, znudzonego swym tematem), ich zdolnościami, a o ile możliwości nawet ich wykształceniem fachowym, styczność bowiem tematu z tą dziedziną wiedzy, w której referent stale pracuje, wpływa ogromnie na poziom i pogłębienie referatu. Wymaga to oczywiście taktu, subtelności i doskonałej znajomości wszystkich członków ze strony kierownictwa koła, które zwykle w tych sprawach decyduje ostatecznie.

Przygotowującemu się już do referatu członkowi koła, zwłaszcza młodemu, należy zapewnić dobrą pomoc w wyszukaniu odpowiedniego materiału książkowego, aby nie tracił na próżno czasu i wysiłków; nieocenione usługi oddać tu może projektowana oddawna, obecnie już opracowywana „Bibliografia juwentusiaka”, zawsze jednak uzupełnić ją powinien ksiądz kierownik, ewentualnie ściślejszy jeszcze specjalista w tej dziedzinie.

Wobec braku czasu i w większości wypadków głębszej znajomości rzeczy u referenta nie może on korzystać z nazbyt wielu książek, ale zato muszą już one być gruntowne i pierwszorzędne; szczególną uwagę zwrócić tu trzeba na literaturę najnowszą, a nie należy też pomijać dzieł niekatolickich, aby młodą inteligencję katolicką oswoić z poglądami obozów przeciwnych i uzbroić ją w argumenty przeciwko wrogom jej ideałów. Obok należytego wykorzystania lektury, musi jednak referat pogłębić i ożywić własne przemyślenie referenta, jego osobisty sąd i myśl żywa; jeśli zaś w czasie przygotowań do referatu nasuną się zbyt wielkie trudności, lepiej, żeby referent spróbował najpierw jeszcze pocichu przedyskutować tę sprawę z instruktorem lub jakimkolwiek bardziej wyrobionym członkiem, a nie przedstawiał ją mgliście, bez należytego zrozumienia.

Są w „Juventus” podzielone zdania na temat, czy referat powinien być czytany, czy wygłaszany. Dokładny, drobiazgowy nawet plan, jakieś notatki cytat, czy trudniejszych argumentów, a dla członków mniej wyrobionych czy uzdolnionych nawet cały referat napisany są niezbędną pomocą,

ale w zasadzie lepiej mówić, niż czytać; wówczas bowiem referat staje się żywszy, bardziej porusza słuchaczy, a nawet samego referenta, który tym sposobem jeszcze w chwili wygłaszania do pewnego stopnia tworzy swoją pracę. Lepiej jednak naturalnie zrezygnować z tych plusów w wypadku specjalnych trudności wysławiania się jakiegos referenta. Od czasu do czasu zresztą wogóle dobrze robi jeden referat odczytany, całkowicie wykończony i o starannie wygładzonej formie, uczy to bowiem koło wyrażać się prawidłowo i estetycznie, co stanowi także wielką zaletę każdego referatu. Czytać referat trzeba koniecznie powoli, wyraźnie, inaczej wiele z jego treści ginie dla słuchaczy.

Referat nie może być tylko szkicem, lekkim zagajeniem dyskusji; powinien jednak zawierać spory zasób myśli, a przynajmniej informacji dla koła, być możliwie pełnym wyczerpaniem danej kwestji (oczywiście, powinien przy końcu dążyć do zagajenia żywszej dyskusji przez świadome wysunięcie do niej pewnych zagadnień nierozstrzygniętych całkowicie, ale referent musi zawsze o ile możliwości panować nad całą sprawą, którą opracował).

Ze względu zarówno na krótki czas, przeznaczony na wygłaszanie referatu i na jego efekt, jak też na słabe nieraz przygotowanie słuchaczy do tematu, referat musi mieć koniecznie formę zwięzłą, a bardzo jasną i planową.

Wszystkie te sprawy należą do samego referenta, ale warto wspomnieć jeszcze o tych danych, które ze strony koła mogą znacznie przyczynić do podniesienia lub obniżenia pożytku, płynącego z tej pracy. Koło więc powinno być zawczasu uprzedzone o tem, kiedy ma być dany referat, aby członkowie mogli się choć cokolwiek także do niego przygotować. Dobrze jest rozdać przed referatem kilka odpisów jego planu między słuchaczy. Jeśli dyskusja ogranicza się poprostu do paru zapytań i prostych wyjaśnień referenta, lepiej odbyć ją jeszcze tego samego wieczoru; jeśli wpływają zagadnienia trudniejsze i sporne, lepiej odłożyć ją na zebranie następne, by móc sprawę wyczerpać, ale zacząć to zebranie od odczytania planu referatu i wysuniętych poprzednio zagadnień, a nawet krótkiego koreferatu. Dobrze jest też, jeśli słuchacze robią notatki w czasie wygłaszania referatu.

Na referaty, ciekawsze tematem lub opracowywane przez wybitniejszych członków koła, należałoby zapraszać gości z innych kół, dawać je na zebrania wspólne, proponować powtórzenie ich na innych, chętnych do tego kołach. W ten sposób wzbogaca się dyskusja, wyzyskuje się w sposób jak najbardziej ekonomiczny czas i umiejętność referenta dla jak największej ilości osób, a także pobudza się szlachetną emulację, co przyczynia się bardzo do podniesienia poziomu pracy. Oczywiście, te wskazówki zresztą, jestem pewna, przez wielu instruktorów już oddawna stosowane, nie uczynią wszystkich referatów świetnemi, bo zawsze sedno rzeczy zależy od osoby referenta; ale można przy ich pomocy uniknąć wielu bardzo powszechnych, a stosunkowo łatwych do usunięcia elementarnych błędów, zarówno ze strony jakiegos początkującego referenta, jak też i kierownictwa koła. To samo zaś już podniosłoby nieraz znacznie poziom pracy referatowej w kołach.

Irena Józefowiczowa.

Kronika.

Dn. 4 czerwca r. b. w dniu Zesłania Ducha Sw. „Iuventus” obchodziło swoje do-
roczne Święto. Uroczystość tę poprzedziły rekolekcje w kościele akademickim, prowa-
dzone przez ks. prałata Węglewicza. Czcigodny prelegent w ciągu trzech konferencji
rozwinął trudny i głęboki temat, a mianowicie tajemnicę Trójcy Przenajświętszej.

W pierwszy dzień Zielonych Świątek — po Mszy św., odprawionej przez ks. St.
Piotrowskiego, w czasie której wspólnie przystąpiliśmy wszyscy do Komunii św., i po
wysłuchaniu kazania, wygłoszonego przez ks. dr. Z. Kamińskiego — udaliśmy się razem
na śniadanie do lokalu gimnazjum im. św. Stanisława Kostki. Już o godzinie 10 m. 10
wyruszyliśmy kolejką wilanowską do Powsina. Tam, na leśnej polanie, odbyło się przy-
rzeczenie licznej tym razem (około 30 osób) grupy młodych członków. Po przemówie-
niach prezesa Zarządu Gł., kol. E. Paprzyckiego i prezesa Zw. Senjorów, kol. W. Tryliń-
skiego, zabrał głos ks. Rektor E. Szwejnic. W gorących, mocnych słowach starał się obu-
dzić we wszystkich słuchaczach, a zwłaszcza w tej nowej gromadce, mającej powięk-
szyć szeregi juwentusowe, poczucie odpowiedzialności za istnienie i dalszy rozwój orga-
nizacji, którą w roku przyszłym czeka wielka próba — ze względu na wchodzącą obec-
nie w życie nową ustawę akademicką. Od przyrzekających serdecznie przemówił kol. K.
Halicki. Zarówno w czasie tej uroczystości, jak i w ciągu całej wycieczki — pomimo
miłego, wesołego nastroju — wszyscy odczuwaliśmy brak nieobecnego ks. E. Detkensa,
który bodaj pierwszy raz był zmuszony opuścić Święto juwentusowe.

Dział Związku Senjorów.

O MIĘDZYNARODOWĄ WSPÓLPRACĘ NA POLU FILOZOFII KATOLICKIEJ.

Przed kilku tygodniami o. Metody Haban, dominikanin, wręczył Papieżowi akta
pierwszego katolickiego kongresu filozofów, który odbył się w roku ubiegłym w Pradze.
O. Haban jest założycielem wielkiego czecho-słowackiego czasopisma filozofii katolic-
kiej „Filosofické Revue” (Ołomuniec, Sowenska 14). W czasie pobytu swego w Rzymie
udzielił on przedstawicielowi „Osservatore Romano” interesujących wyjaśnień w spr-
awie odrodzenia filozofii katolickiej w Czechosłowacji i podkreślił konieczność między-
narodowego współdziałania filozofów katolickich.

Pierwszą próbą takiej współpracy duchowej był właśnie wspomniany kongres pra-
ski, w którym oprócz Czechów wzięli udział reprezentanci Belgji, Francji, Jugosławji,
Niemiec i Polski. Uczestnicy kongresu dali zgodnie wyraz przekonaniu, że obecnie bar-
dziej niż kiedykolwiek od czasu zburzenia duchowej jedności średniowiecza katolic-
kiego, daje się odczuwać potrzeba nowej syntezy filozoficznej, która byłaby przewy-
ciężeniem przeciwieństw między idealizmem i realizmem. Tomizm, który, jak żaden inny
system, przedziwnie łączy w sobie oba te nastawienia i wskutek tego umożliwia najbar-
dziej rozległe spojrzenie na życie, w szczególniejszy sposób nadaje się do tej roli. Wi-
doki międzynarodowego renesansu filozofii tomistycznej są tem większe, że dziś ma
ona przedstawicieli wśród wybitnych uczonych we wszystkich przodujących pod wzglę-
dem kulturalnym krajach. Następny kongres filozofów katolickich odbędzie się w roku
przyszłym w Poznaniu.

SPROSTOWANIE.

W poprzednim numerze pisma na str. 16, w w. 18 od góry, był mylnie wydru-
kowany werset z Ewangelji św. Mat. X, 34, który powinien brzmieć: „...nie przyszedłem
puszczać pokoju, ale miecz”.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, UL. KOSZYKOWA 11, M. 20
TELEFON 603-77

Czynne w poniedziałki od godz. 18 do 19.

CENA POJEDYŃCZEGO NUMERU 30 GR.
PRENUMERATA ROCZNA 3 ZŁ. KONTO P. K. O. 24.488.

Przedaż numerów bieżących i dawnych — na dyżurach Redakcji.

Drukarnia Mazowiecka, Warszawa, ul. Szpitalna 1, tel. 649-04.